

ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

RADYKAŁ.

CO DALEJ?

Nowa Izba ludowa nie różni się niczem od poprzedniej. — Pod znakiem walki podjazdowej i intryg zakulisowych o teki ministeryalne ogłaszają wielkie stronnictwa swe nuncya, a w Izbie płynie wymowa jak brudne fale Wiedenki, o które nikt się nie troszczy.

W chwili, w której się piętrzą przed rządem i parlamentem olbrzymie zadania ludowych konieczności, w chwili, w której napór opinii publicznej wszystkich sfer jak nigdy przedtem naciska na rządzące czynniki, by podjęły w końcu szeroką akcyę ekonomiczną, któraby zreformowała podstawy gospodarczego obrotu, w chwili, w której wszystkie wysiłki woli i umysłu skupić się powinne około tych zagadnień, — w tej chwili najważniejszą kwestyą, około której się obraca całe istotne życie stronnictw, której rozwiązaniu najwięksi gracze polityczni poświęcają cały wyskok i rdzeń swych mózgów, — to sprawa: czy ma być dwóch ministrów czeskich, czy tylko jeden, czy to mają być biurokraci, czy politycy, — czy ma pozostać Gautsch, czy też ma przyjść Stürgkh, czy może Biliński?

O tem, że ze stanowiska potrzeb ludowych to rzecz najobojętniejsza — prawie — że nikt nie pomyśli.

Ze stanowiska potrzeb ludowych i polityki ludowej kwestya ta nie powinna nawet na chwilę zająć umysłów, bo czemże różni się Gautsch od Stürgkha, czy Stürgkh od Bilińskiego?

Jakiż kierunek myśli, jaka idea, czy jaka zdolność umysłowa, lub polityczna ich odróżnia od siebie?

A jednak z chwilą, gdy z którego kąta ktoś zawoła „przesilenie", cała prasa, cała Izba i wszystkie czynniki polityczne, jak pod wpływem psychozy jakiej, już nic nie widzą, niczem się nie zajmują, do niczego nie przywiązują wagi, — jak tylko do wszelakich kombinacyi ministeryalnych, które znów, rzecz naturalna, oddziałują na ogólne położenie w Izbie, gdyż nader liczni kandydaci ministeryalni, znowu tylko pod tym kątem widzenia, i przez ten

pryzmat patrzą na sytuacyę i pod wpływem takich, może i nieświadomych instynktów, przyczyniają się do „rozwiązania“ przesilenia.

Prezesa Koła polskiego opiewają od tygodni dzienniki rządowe — jaką to opatrznościową wprost odgrywa rolę w dzisiejszym parlamencie i jak pod jego niemal batutą składnie i sprawnie tańczy rząd i jak Biliński gra, tak wtóruje cała Izba.

I może dałoby się szczypta tego osiągnąć, gdyby... ach gdyby pan Biliński nie był równocześnie kandydatem na prezydenta ministrów.

Ta ekspektatywa narzuca p. Bilińskiemu pewien specyalny kąt widzenia, — który stanowczo nie jest pożądanym ze stanowiska Koła polskiego, — które jedynie i wyłącznie stanowić winno o krokach jego prezesa.

Bez chęci ubliżenia p. Bilińskiemu twierdzimy, że perspektywa na stanowisko prezydenta ministrów zaciemnia horyzont polityczny prezesa Koła polskiego i że stąd wynikają komplikacye z punktu widzenia, wyłącznie interesów polityki kraju, wcale niepożądane.

Na dowód wystarczy przytoczyć dwa fakty. Pierwszym — to wniosek w sprawie włoskiego fakultetu prawniczego.

Gdzie była potrzeba ze stanowiska interesu krajowego, — by prezes Koła polskiego angażował się w drażliwej sprawie, którą Włosi uważają za sprawę pierwszorzędną narodową?

Gdzie był — obok tego rozum stanu — by się angażował kierownik polskiej polityki tam, gdzie zwycięstwo nie było pewnem, — a nastąpiła moralna przegrana.

P. Biliński jest zbyt wytrawnym politykiem, by mu się mogło trafić tego rodzaju faut pas tam, gdzie działa jako polityk z chłodną rozwagą i gdzie go gra polityczna osobiście jeszcze nie rozgrzała i nie roznamiętniła, gdzie ma wewnętrzny spokój, który go wstrzymuje od ryzykownej stawki.

Ale ten chłodny spokój opuszcza gracza także politycznego, — gdy osobiście jest zaangażowany i gdy nie wie, która chwila przyniesie mu ową „główną“ wygraną.

O ile tedy błąd w sprawie fakultetu włoskiego przypisujemy chętnie pewnemu oszołomieniu, płynącemu z naturalnego podniecenia w dniach „wielkiej“ audyencyi, która znalazła prezydyalno-ministeryalne komentarze w prasie i w Izbie, — o tyle drugi błąd polityczny, popełniony przez p. Bilińskiego idzie już więcej na rachunek premedytacyi na tem samem tle prezydyalno-ministeryalnem.

Mamy na myśli stanowisko, jakie zajął p. Biliński imieniem Koła polskiego w sprawie: biurokratycznych, czy parlamentaryćh ministrów.

Ze stanowiska interesów kraju jest nam istotnie obecnie Hekubą — czy ministrem tym lub owym będzie jakiś konserwatysta z parlamentu, czy z biurokracyi. — W naszych stosunkach rzecz ta tem obojętniejsza, że, jak doświadczenie uczy, każdemu ministrowi polskiemu zawsze jeszcze w mig jakiś okręg wyborczy ofiarował mandat.

Z drugiej strony nie znaliśmy nigdy p. Bilińskiego z jego przeszłości, jako takiego gorącego zwolennika rządów ściśle parlamentarnych.

Więc nagła opozycya p. Bilińskiego przeciw kamieniowi mądrości, jaki wykoncypowali politycy czescy w porozumieniu z p. Gautschem, — gdzie rozwiązanie wszystkich trudności miało leżeć w oddaniu tek ministeryalnych — dwom urzędnikom czeskim, — przedstawiać się musi znowu, jako pociągnięcie na szachownicy dla celów, nie mających nic wspólnego z interesami kraju.

Pociągnięcie zbyt przejrzyste, całkiem niedostatecznie umotywowane, które wywołuje odrobinę niesmaku, a w następstwie prowadzi to znów do przegranej.

Bo, ostatecznie, skoro się p. Gautsch tak ułożył z Czechami, nie mógł się już cofnąć, a p. Biliński znalazł się potem w tej konieczności, iż musiał sam, dla odwrócenia od siebie zarzutu, iż zaprzepaścił sytuacyę, doradzać narodowemu związkowi niemieckiemu, by się zgodził na żądania Czechów.

Tak więc dążenie do tek znamionuje nietylko politykę Izby posłów całej, ale też politykę Koła polskiego.

Konserwatyści niczego się nie nauczyli i nic nie zapomnieli z dawnych swoich rządów w Kole.

A w kraju?

I tutaj nie lepiej. — Blok wyborczy, który był do pewnego stopnia konieczną samoobroną przeciw partyjnej, bezideowej zachłanności i egoizmowi narodowych demokratów, stał się obecnie narzędziem i środkiem dla utrwalenia rządów stańczykowsko-konserwatywnych w kraju.

W namiestniku Bobrzyńskim żadna sprawa administracyjna, ani gospodarcza nie znalazła ani pomocy, ani orędownictwa.

Dr. Bobrzyński niema dla spraw administracyjnych, ani gospodarczych, nietylko żadnego zrozumienia, ale nawet żadnego zainteresowania.

Nie było wypadku, w którymby Dr. Bobrzyński okazał poważną chęć poinformowania się na seryo o jakiejkolwiek sprawie administracyjnej, lub wyrobienia sobie, czy to w sprawie pokrzywdzonej administracyjnie strony, czy też w sprawie ogólnej, własnego zdania.

Dr. Bobrzyński jest politykiem i profesorem i poza interesem stronnictwa, którego jest szefem, nie widzi więcej niczego i nie chce niczego widzieć.

Administracya kraju zdaną jest, jak nigdy przedtem i jak nigdzie, na łaskę i niełaskę biurokracyi, a osobisty wgląd i wpływ namiestnika ograniczony jest ściśle do spraw natury politycznej, lub o podkładzie politycznym.

Gdyby się przytem Dr. Bobrzyński kierował chociaż w doborze kierowników administracyi, z łona biurokracyi, tylko względami na dzielność tych urzędników, ich zdolności fachowe, talent, prawość i pilność?

Ale i o tem mowy niema. — Walcząc z narodową demokracyą, obrał Dr. Bobrzyński jej metodę.

Chodzi jedynie o to, by obsadzać naczelne stanowiska swoimi ludźmi i wzmocnić swoje stronnictwo. Naczelne urzędy są dziś dostępne tylko konserwatystom i dlatego są w najsłabszych rękach, co się odbija na całej krajowej administracyi.

Dr. Szlachtowski, osobiście najgodniejszy człowiek, jest najsłabszym prezydentem krajowej Dyrekcyi skarbu. Podania i rekursa stron leżą l a t a m i bez załatwienia, fiskalizm święci orgie i wymyśla coraz dokuczliwsze szykany; gdzie chodzi o ulgi, ustawowo stronom należne, tam się załatwienie przewleka w sposób oburzający, a tymczasem ściga się i prześladuje strony egzekucyami o urojone zaległości, a pomocy u Dr. Szlachtowskiego jeszcze nikt nie znalazł.

W Dyrekcyi domen i lasów rządzi się jak szara gęś paniczek, p. Cieński, który usunął wszystkich odpowiedzialnych kierowników urzędu i pod osłoną „wysokiej aprobaty“ robi, co chce. Namiestnik zaś idzie za nim ślepo i nie zada sobie nigdy trudu, by choć rzecz merytorycznie zbadać.

O Radzie szkolnej krajowej nawet wstyd wspomnieć. Rumieniec wstydu i oburzenia występuje na twarz na samo wspomnienie — tego operetkowego kierownictwa naszej krajowej komisyi edukacyjnej, najwyższej magistratury polskiego wychowania.

Nawet tę jedyną dziedzinę, w której Dr. Bobrzyński jest fachowym, zdał zupełnie na łaskę i niełaskę „urodzonego z księżniczki“ wiceprezydenta.

Są to stosunki nie do zniesienia nadal. Polityczny antagonizm stronnictw demokratycznych rozzuchwalił konserwę do niemożliwych granic.

Czy musi tak pozostać wiecznie? Czy demokracya nie znajdzie w sobie tyle ofiarności z własnych nienawiści wzajemnych, z własnych ambicyi do rządzenia innymi odłamami demokracyi, z przekory, z uporu i tych wszystkich wad demokratycznych, aby się skojarzyć w imię idei i dobra kraju i otrząsnąć ze siebie jarzmo konserwatywne.

Czy niema na to środka żadnego, żadnego ratunku?

O tem w następnym artykule.

DR. JUDYM.

Czy naprawdę renesans „demokracyi polskiej“?

Był czas, kiedy demokracya galicyjska stanowiła ubogi w dostojeństwa, mimo to bogaty ideowo i poważny czynnik polityczny i kulturalny. Dwa były takie okresy: jeden za Franciszka Smolki, kiedy absolutystyczno-feudalna Austrya przeobrażała się w państwo konstytucyjne, drugi za Romanowicza, Rottera i ich towarzyszów, po dokonanem bankructwie polityki stańczykowskiej, kiedy opinia Galicyi oczekiwała niecierpliwie zmiany systemu, który sprowadził zacofanie i martwotę we wszystkich dziedzinach pracy gospodarczej, społecznej i kulturalnej i groził żywiołowym wybuchem niezadowolenia. Jednym i drugim razem demokracya galicyjska nie wyzyskała do końca pomyślnej sytuacyi, dała się obezwładnić i straciła znaczenie ważnego czynnika politycznego: „pierwszy raz wskutek macchiawelskiego „przy tobie stoimy“ stańczykieryi, drugi raz wskutek demagogicznego frazesu reakcyjnej partyi „narodowo-demokratycznej“. Przegrana musiała być chwilową, bo życie nie da się powstrzymać w swoim rozwoju, demokracya zatem, jak ów mityczny Feniks, mając zdolność samoodrodczą, musiała znaleść chwilę, w której miała na nowo poprowadzić życie po jego drogach naturalnych, ażeby dążyć statecznie do granic, przyrodzonemi prawami człowieka zakreślonych.

Chwila taka szczęśliwa zjawiła się dla demokracyi w ostatnich kilku latach, gdy ludzie najcierpliwsi stracili zaufanie do „narodowej demokracyi“, gdy nawet najnaiwniejsi przekonali się o jej zupełnej i bezwzględnej reakcyjności. Był to więc objaw całkowicie naturalny, że czynniki rzetelnie demokratyczne chwilę możliwości pożytecznej pracy odczuły i zawiązały Polskie stronnictwo postępowe, które konserwatyzmowi i narodowej demokracyi przeciwstawiło godny najlepszych tradycyi patryotycznych, nowocześnie pomyślany program postępowo-demokratyczny. Sympatya, z jaką partya postępowa, mimo najohydniejszej nagonki przeciwników, powitaną została w całym kraju, przeraziła z jednej strony reakcyę stańczykowsko-narodowo-demokratyczną, z drugiej strony obudziła z letargu demokracyę galicyjską dawnego autoramentu. Ta ostatnia osądziła bowiem, że przyszedł moment, w którym musi się jakoś wypowiedzieć: albo przystąpić gromadnie do nowego stronnictwa, albo usiłować wskrzesić piękny niegdyś, później jednak mocno przytuczony i wyblakowany autorytet. Za dużo miała jenerałów, ażeby wstąpić w szeregi, za lewicową, za skrajną wydała się jej nowa szczerze demokratyczna organizacya, dawne zaś wspomnienia nie pozwoliły jej stanąć wyraźnie po stronie reakcyi, — i oto poczęło się zapładnianie popiołów, akt odrodzeńczy.

Rzecz nie była łatwa, bo cóż mogła przynieść nowego odrodzona formacya, skoro Polskie stronnictwo postępowe, z najlepszych czerpiąc tradycyi, program demokratyczny wszem wobec obwieściło, pracy się podjęło, chrzest krwi odbyło i oparło się na zgodnej opinii najenergiczniejszych kół obywatelskich. Rzecz nielatwa, a jednak się odbyła, w małżeństwie nie bardzo legalnem, na sposób indyjskich Apsaras, albo rzymskiej Rei Sylwii; koniec końców skutek nastąpił. Trudu brzemienności podjął się sympatyczny senator, mowca barykadowy, w działaniu safanduła; za męża wziął sobie ducha z pod znaku ptaków (dla dobrej wróżby!) — z konserwatywnych najkonserwatywniejszego; położną został wyższy urzędnik-emeryt, poglądów konserwatywno-demokratyczno-klerykalno-postępowo-urzędowych; w kumy w pierwszą parę poszedł paradoksalny adwokat i redaktor-przemysłowiec ze sporym orszakiem burmistrzów prowincyonalnych i innych gości przygodnych i przypadkowych. I urodziło się dziecię, niewiadomych własności i przymiotów, o urodzeniu jego zawiadomiono telefonicznie kawki z nad jezuickiego ogrodu i z pod Wysokiego zamku; dziecięciu Feniksowi dano dawne imię: „demokracya polska“. Chodzą wieści, że dziecię żyje, rusza się, jest bardzo łaknące i spragnione, umie już nawet jedno słowo: „papa“, o mamie jeszcze nie wie.

Lecz żart na stronę, choć rzecz tak jest wesoła, że trudno nie żartować. Trzeba naprawdę milieu politycznego galicyjskich stosunków i galicyjskich „demokratów“, ażeby tak osobliwy zespół duchowy wydał na świat istotę żywą, której na dobitek, (choć tak nie do uwierzenia dziedzicznie obciążona), dano imię demokracyi, ażeby nareszcie w tak harmonijnem(!) towarzystwie mówić o renesansie polskiej demokracyi i na odrodziny jej bić z moździeży i samopałów. Trzeba naprawdę kociej zręczności

konserwatystów galicyjskich, ażeby wobec zbliżającego się do nich szybkim krokiem niebezpieczeństwa umieć urodzić w samą porę dzieciątko demokratyczne i przy pomocy tego dobrze ssącego niemowlęcia rządzić nadal i niepodzielnie w sposób konserwatywny. Niewyczerpana jest matka-przyroda w urodzinach swoich! Niepospolicie mądrą jest demokracya dawnego autoramentu, nosząca takie dziecię cudu w żywocie swoim! Szczęśliwi obywatele galicyjscy, których to dziecię już w powijakach ma odtąd prowadzić na arcymisternym powrózeczku.

Dziecię wolno oglądać i wolno mu wróżyć. Rozpatrzywszy jego cudowne urodzenie i pierwsze objawy skłonności życiowych, popatrzmy mu na rączkę lewą i zabawmy się w chiromancyę. Rączka ukształtowana jest dobrze, cokolwiek przyduża, ale to nic — tem lepiej będzie chwytać i nie tak łatwo wypuści. Linie już tak wcześnie są mocno pogmatwane, — pomówmy o nich poważnie.

Demokracya jest stronnictwem burżuazyjnem, czyli mieszczańskiem i dąży do tego, ażeby miasta nadawały ton (jeżeli całkowicie rządzić nie mogą), polityce krajowej. Tego, dziecię nasze, z ojca konserwatysty urodzone, liniami rączki wcale nie obiecuje. Przeciwnie zdaje się zapowiadać, że poświęci zawsze interesy miast interesom agrarnym wielkich właścicieli i o wpływ skuteczny na politykę krajową wcale się nie będzie ubiegać.

Demokracya jest z natury stronnictwem postępu, umie nawet budować barykady dla utwierdzania wolności sumienia i przekonania, dla zdobywania prawdy naukowej i wyzwalania narodu z pod przemocy przesądu. Nasze dziecię pozwoli na liberalizm, lecz tylko w pustelniczej samotności, lub w teatrzyku rozmaitości; wolność przekonania, o ile o przekonania będzie dbało, zostawi tylko dla siebie; prawdę naukową przekaże laboratoryom i gabinetom prawomyślnych uczonych, a wyzwalanie z przesądów zostawi duchownym kilkunastu obrządków i wyznań, które mają w Galicyi ustawowe uprawnienie.

Demokracya jest stronnictwem gospodarczem, dbającem o rozwój handlu i przemysłu, o pomnożenie produkcyi krajowej, o zrównoważenie interesów pracy i kapitału, o zapobieganie skutkom klęsk elementarnych, o należyte urządzenie szpitalnictwa, dobroczynności publicznej, o ułatwianie zdobywania pracy i t. d. Linie rączki cudownego dzieciątka zdają się okazywać pewną skłonność do publicznego i głośnego omawiania spraw tego rodzaju, ale kreseczka czynu przepowiada, że o tyle tylko dziecię będzie się starało sprawy te realizować, o ile one nie szkodziłyby interesom latyfundystów, o ile nie będą obciążały ich podatkami, o ile nareszcie nie wywołałyby wzrostu uświadomienia robotników i powstania licznego zastępu ludzi zawodów wolnych, których nie możnaby ciągnąć bezkarnie na powrózeczku, którzy — co gorzej — mogliby się upomnieć naprawdę o prawa demokracyi.

Demokracya jest nareszcie i przedewszystkiem — że pominiemy inne znamiona — stronnictwem narodowem w najlepszem tego słowa rozumieniu. Tworzy się najpierw i ma swoje siedziby po wielkich miastach, gdzie gromadzi się najlepsza cząstka każdej społeczności. Tutaj bowiem są centra pracy naukowej, około których skupia się wybór sił intellektualnych. Tutaj ześrodkowuje się administracya, gospodarka, finansowość i dziennikarstwo, które umożliwiają przegląd wszechstronny zasobów pracy narodowej i ułatwiają egzystencyę w najtrudniejszych zjawiskach życia zbiorowego. Tutaj nareszcie wytwarza się najwcześniej potrzeba sharmonizowania współżycia międzyzawodowego, gdyż wielkie zbiorowiska odczuwają najsilniej wszelkie wahania równowagi społecznej i posiadają największą zdolność natychmiastowego reagowania na objawy szkodliwe i niepożądane. W miastach zatem dojrzewa najpełniej typ obywatela, typ człowieka, ogarniającego wszechstronnie potrzeby zbiorowości, które w normalnych społeczeństwach są identyczne z potrzebami narodowemi. Miastom tedy należy się kierunek dusz, w nich też powstała myśl demokratyczna, która nie tylko umiała się przeciwstawić dawnej polityce przywilejów, ale zarazem wyraziła najzupełniej ideały humanitarne i religijne (nie wyznaniowe!) nowoczesnej społeczności.

Nowonarodzone dzieciątko demokratyczne zdaje się o tak wielkich zadaniach nic zgoła nie wiedzieć i roli demokracyi miejskiej o wyżej określonych zadaniach wcale nie rozumieć. Maleńką próbę jego pod tym względem niedojrzałości oglądamy od niedługiego czasu w sprawie reformy wyborczej do Sejmu, która nie pozwala na żadne złudzenia.

Ścisła dyagnoza, postawiona nowemu tworowi, t. zw. demokracyi polskiej, zmusza tedy do surowej krytyki. Żadną zaś miarą nie dopuszcza, ażeby, mówiąc o nim, wolno było mówić o renesansie demokracyi polskiej. Renesans ten istnieje, ale mieści on się w organizacyach Polskiego stronnictwa postępowego, które na dzisiaj przedstawia najczystszy program myśli demokratycznej i najwyższą jej wartość ideową, a które narodziło się nie pod natchnieniem zaatakowanych interesów konserwatywnych, ale wyrosło wprost z gleby narodowej, jako wytwór organiczny rozumu, uczucia i sumienia narodowego. I nie wskrzeszona przed dwoma tygodniami demokracya polska, ale Polskie stronnictwo postępowe, choćby najbardziej napastowane przez dotychczasowych posiadaczy, będzie unosiło sztandar myśli demokratycznej w Galicyi i ten tylko sztandar będzie symbolem zjednoczonego na organicznych podstawach głosu obywatelskiego.

A jednak! Czy nowy twór należy uważać za bezwzględnie szkodliwy i nieużyteczny? Taki sąd należałoby o nim wydać w każdem społeczeństwie normalnem. W naszem społeczeństwie trzeba być na wiele rzeczy cierpliwym i mieć dużo wyrozumiałości. Sam fakt, że ludzie „urzędowi i na stanowiskach“ nie mogli ścierpieć frazesu i demagogii, „narodowych demokratów“, jest objawem pocieszającym. Odruch wskazuje, iż nawet ci ludzie odczuli, że dzieje się źle, że organizm potrzebuje ratunku. Jeżeli nowej organizacyi uda się zniweczyć demagogię, już to samo będzie sporą zasługą. Do rzeczy nowych nowa organizacya nie będzie zdolną, bo zbyt ją wypaczono w samym zarodku. Nie zdoła utrzymać się na dłużej w przymierzu z konserwatystami, więc po niedługim czasie musi zwiędnąć, a energiczniejsze jej nabytki muszą stanąć przy programie Polskiego stronnictwa postępowego, choćby nawet do jego organizacyi oficyalnie nie wstąpiły. Fala życia nie da się bowiem półśrodkami na dłużej powstrzymać, gdyż półśrodki — to tylko ów osioł z bajki, który własnem cielskiem

chciał bieg strumienia górskiego zatamować. Dlatego wobec nowej kreacyi trzeba być pobłażliwym, lecz patrzeć jej pilnie na palce, a równocześnie robić swoje i czekać chwili nie zbyt późnej, w której wszystkie umysły szczerze demokratyczne zrozumieją harce konserwatyzmu, który naprzód przez „narodową demokracyę“, dzisiaj przez „demokracyę polską“ stara się nie dopuścić do zapanowania myśli i polityki prawdziwie demokratycznej. Zrozumienie to musi nadejść, a z niem razem zjednoczenie wszystkich sił demokratycznych w obozie Polskiego stronnictwa postępowego.

GRABOWIEC.

U PRZEŁOMU.

Wiedeń, 31. października.

Ostatni tydzień października przyniósł ze sobą niepoślednie wzruszenia na terenie parlamentu austryackiego. Rokowania między rządem a stronnictwami o stworzenie silnej większości parlamentarnej doszły zenitu i zakończyły zię zwrotem dla wewnętrznego rozwoju państwa przełomowym.

W piątek 27. bm. w dyskusyi budżetowej zabrał głos prezydent rządu i oświadczył, że w Izbie poselskiej „owocna praca tak długo jest niemożliwa, pokąd się nie uda pozyskać dla współdziałania przedstawicieli narodu czeskiego“.

We wtorek 31. bm. tenże sam prezydent rządu podał się z gabinetem do dymisyi.

Aby odczuć całą doniosłość tej proklamacyi, należy uświadomić sobie dotychczasowy stan rzeczy.

Bezpłodne, trzyletnie, niemal, urzędowanie Bienertha spowodowało z jednej strony mimowolne powstanie bloku polsko - niemieckiego, z drugiej strony powołało do życia Unię Słowiańską. Blok polsko-niemiecki, bogaty większością jakichś pięciu głosów, miał do czynienia z opozycyą tak ogromną, że mowy nie było o jakiejkolwiek wydajnej działalności. Załatwiono te nieodzowne potrzeby państwa, które opozycya słowiańska z łaski przepuściła, wszystko inne — potrzeby społeczne — spoczywały nietknięte.

Parlament stał się wiernem zaiste zwierciadłem państwa: ludy słowiańskie, walczące z hegemonią niemiecką, sukursowaną przez Koło polskie. Wynik: jałowość i biernota.

Dymisya Bienertha w takich okolicznościach stała się koniecznością dobroczynną. Następca, ktokolwiek by nim był, musiał wysnuć morał odpowiedni z trzechletnich praktyk bienerthowskich.

Gautsch zrozumiał odrazu nieodzowność zmiany frontu i zapowiedział ją poniekąd jeszcze w lipcu, podczas konferencyi z przewódcami stronnictw.

Wynik głosowania, odbytego w połowie października w przedmiocie ustalenia porządku obrad w Izbie, przyspieszył bezpośrednio wszczęcie rokowań. Baron Gautsch zwrócił się do Czechów z zapytaniem, pod jakimi warunkami przystąpiliby do większości rządowej.

Dni dziesięć niemal toczyły się układy, a przebieg ich był nader znamienny dla stosunków politycznych Austryi.

Chodziło o pozwolenie Niemców liberalnych na kooperacyę z Czechami we większości parlamentarnej.

Niemcy liberalni, rozkapryszeni trzyletnim udziałem w rządach bienerthowskich, rzecz prosta, nie kwapili się uczynić miejsce obok siebie Czechom. Niepodzielny wpływ na władzę, ma pewne walory we walce narodowościowej; należy go więc strzedz zazdrośnie. Lecz z drugiej strony niewypowiedziana, ale zrozumiała czyhała groźba, że w razie oporu, przyjdzie do wznowienia „pierścienia żelaznego“. Zjednoczenie chrześciańsko-socyalne z 73 członkami bardzo łatwo mogłoby zdystansować Związek narodowo-niemiecki z jego 98 członkami. Różnicę 25 głosów możnaby powetować wśród grup innych, a wtedy Niemcy liberalizujący, skazaniby zostali na opozycyonistów.

Obawa popadnięcia w tę rolę niewdzięczną utemperowała buńczuczny gest Niemców. Po długich korowodach przyszło w Związku narodowo-niemieckim do uchwały zasadniczej. Dopuszcza się Czechów do spółdziałania w tegorocznym programie rządu, z tem zastrzeżeniem, że ich postulaty polityczne nie są do przyjęcia.

W tej chwili baron Gautsch przerwał tok rokowań zakulisowych. Niepewności co do kolei dalszych układów położył koniec, zabierając głos w pełnej Izbie, aby dać wytyczne nowego systemu. Tezy, obowiązujące od lat trzech, obalone; na ich miejscu postawiona zasada, iż każdy naród w Austryi powołany jest do udziału w aktach rządu, w administracyi państwa.

Baron Gautsch na swój sposób, a raczej na sposób, właściwy sferom panującym w Austryi, motywował konieczność przełomu w systemie dotychczasowym. Prezydent rządu usiłował ze socyalistycznej agitacyi przeciwdrożyźnianej uczynić pobudkę do zjednoczenia stronnictw mieszczańskich w jeden wielki obóz antysocyalistyczny.

Ani bezpośrednia okazya, ani sam pomysł nie mają, rozumie się, żadnego uprawnienia. P. Gautsch wie doskonale, że antydrożyźniana akcya socyalnych demokratów cieszy się zrozumieniem i popar-

ciem żywiołów miejskich wszystkich krajów koronnych. Pan Gautsch wie również jak etycznie poważną jest opozycya socyalistyczna; uderza ona zawsze we wady rzeczowe, nie szafuje nigdy efektami destrukcyjnymi.

Dlatego też filipikę przeciw socyalnej demokracyi pominąć można, jako frazes ideologii biurokratycznej, nie oparty na prawdzie życiowej i nieodpowiedni do stworzenia jakiegoś kierunku realnego.

Tem większe znaczenie posiada natomiast ogłoszenie zasady spółudziału Czechów w rządzie.

Tego rodzaju enuncyacye stają się siłą faktu samego czynnikiem dalszego rozwoju. W obecnym stanie rzeczy, ani Gautsch sam, ani jego następca nie będą mogli zawrócić z kierunku raz wskazanego.

Problem kooperacyi czesko-niemieckiej polega w chwili obecnej na tem, aby owe postulaty polityczne Czechów, przeciw którym zwraca się rezolucya Związku narodowo-niemieckiego, nie stały się przedwcześnie rafą podwodną dla nawy rządowej. Wystarczy przeciętna obrotność, aby ujść niebezpieczeństwa.

Baron Gautsch nie zaufał swoim siłom. Jego przeznaczeniem snadź jest wytyczać drogi nowe, a pozostawiać ich utorowanie komu innemu. Tak było z pierwszem jego przewodnictwem w gabinecie, kiedy chodziło o sanacyę rozluźnionych za Badeniego stosunków parlamentarnych. Tak było z ideą reformy wyborczej, podjętą za drugiego prezesostwa w rządzie. Gautsch odważył się na proklamowanie zasady głosowania powszechnego i równego, lecz nie potrafił zasady tej urzeczywistnić.

Obecnie zachodzi rzecz podobna.

Z bezprzykładnej rozterki, jaką pozostawiły po sobie rządy Bienerthowskie, Gautsch wysnuł wskazówkę trafną i uczynił ją podwaliną dalszych konstrukcyi. On sam wycofuje się z życia politycznego, zostawiając puściznę do spełnienia.

JAN KLECZYŃSKI.

19)

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY.

S. M. JAWORSKI

Czesława roześmiała się.

— Nie trzeba tak sądzić ludzi prosto z mostu!

— Ja wiem, ja wiem, ale przecież gdybym był jej mężem —

— O, jaki pan moralny! Czy tak we wszystkiem?

— Naturalnie! — odpowiedział wolno Julek takim tonem, żeby nie było wątpliwości, ile to on już miał przygód niemoralnych — Na—tu—ralnie!

Spojrzał Czesławie w oczy z komicznym patosem i cokolwiek sztubacką śmiałością.

Panienki wybuchnęły śmiechem i wszystkim zrobiło się nagle bardzo wesoło na duszy.

— Oho, to trzeba się pana strzedz!

— Jakto, jeżeli jestem moralny?

— Tacy właśnie najgorsi!

— Pewno, pewno. A czy ja mogę być niebezpieczny? — spytał Julek nieco naiwnie, bo prawie szczerze.

— To zależy, jak kto pojmuje niebezpieczeństwo.

— Bywają słodkie niebezpieczeństwa — prawda?

— Na—tu—ralnie! zawołała Czesława, naśladując Julka — i patrząc na niego zalotnie.

— I znowu śmiech. Ale Julka zabolała trochę jej ironia, choć to wszystko przecież były miłe żarciki. Fala krwi uderzyła mu do głowy na myśl, żeby otrzymać od niej spojrzenie na seryo! Spojrzysz ty jeszcze tak na mnie — pomyślał z nieświadomą rozkoszą, którą wziął za wspaniałą męską zawziętość.

W tym tonie poszła dalej rozmowa w której Julek zachwycony był własną sprawnością flirtową, aż towarzystwo doszło do lasu, a raczej do „przedpokoju lasu“, jak nazwała Tecia młode sosenki, gęsto rosnące przed starodrzewem. Słońce już zachodziło. Wyzwalały się po ciepłym dniu wonie rozkoszne. Pachniała wilgoć leśna i żywica. Sosny gorzały złotawą czerwienią na tle błękitu, długie pasma ostatnich promieni wnikały w gąszcz ciemniejący. Z daleka szumiały drzewa — tu była cisza.

— Cudownie! — mruknął Julek, wdychając szeroko odurzające powietrze, które ogarniało go sobą, wnikało mu w ciało wszystkiemi porami skóry. Jednocześnie notował w myśli barwy, któremi to będzie można odtworzyć.

Wapowicz z Martą zniknął za drzewami. Antek zły i smutny szedł z Manią, która zawsze trzymała się apatycznie na uboczu „marząc o niebieskich migdałach“.

Tecia milutkim, choć ostrym głosikiem, przypominającym śpiew dziewczyn wiejskich w kościele, zaczęła nucić. Las podchwytywał tony i niósł daleko. Głos Teci dźwięczał tą naiwną świeżością, która ma w sobie czystość wody źródlanej i umie wnikać radością i tęsknotą w najtwardsze serca. Każda jej nutka rozlegała się szeroko, doprawdy, jak w kościele, budziła drżenia anielskich wzruszeń i głaskała duszę, jak szczebiot dziecka. Sam sposób jej wymawiania wyrazów w piosence, dobitny, jak na lekcyi na pensyi, miał urok tej, niczem niezastąpionej, niezręcznej bezpośredniości wydzierającego się uczucia, którego nie stworzy najbardziej wyrafinowana sztuka.

„Rosła kalina z liściem szerokim“... szło po lesie dziewczęce, krystaliczne śpiewanie, płynęło między kolumny drzew, cichło pod gotyckiemi ko-

pułami sosen i znów płynęło dźwięcząco, ptaszęco po lesie...

Julek i Czesława umilkli. Szli obok siebie tak blizko, że ręce ich wyczuwały wzajemne ciepło, prawie że dotykały się. Julka ogarnął bezmierny, niepojęcie błogi smutek. Nagle wydało mu się, że wszystko to już było. Oślepiająca błyskawica zatrzęsła mu duszę. Pamiętał: szedł oto już raz z Czesławą tą samą drogą wśród tych samych drzew, w gorących światłach słońca, blizko, tuż, tuż, nie patrzał na nią, widział tylko jej rękę koło swojej, jej szarą suknię swobodnie puszczoną, jej stopy, obute w pantofelki... chciałby podnieść wzrok... i nie mógł, czy co?

Zapragnął rozpaczliwie, bezsilnie — objąć ją łagodnie, a pewnie — tak zupełnie objąć — przytulić — tyle podniósł powieki, że widział jej stan, jej piersi — och tak, ją właśnie — nie inną w ramionach objąć — jak siostrę... pewno jak siostrę — inaczej?...

Tecia przestała śpiewać. Czas jakiś szli wszyscy w milczeniu.

Czesława spojrzała na Julka z pod oka.

— Tak się pan zamyślił — rzekła miękko, próbując zwykłego uśmiechu.

Julek otrzeźwiał.

— Wie pani — zaczął gwałtownie i urwał. Chciał jej powiedzieć o tem wrażeniu, że tę chwilę jakby pamiętał, że przeżywał już kiedyś — ale nagle przypomniało mu się, że — że on kochał przecież Jadzię — to wszystko nerwy, wrażliwość, złudzenie. — Jedną tylko kocha się naprawdę! — myślał z goryczą — i nie przyszło mu nawet do głowy, dlaczego to właśnie, nie co innego teraz pomyślał.

— Myślę o księżycowych pejzażach! — rzekł szyderczo. — Zmęczony jestem drogą — wieś mnie rozmarzyła — dodał i zły był, że nie powiedział czegoś trywialniejszego naprzykład: „Jadłem dziś tyle, że aż ociężałem“, albo „spać mi się chce“. Potem by ziewnął idyotycznie i dosyć. A tak wyszło głupio — ni to, ni sio. Jeszcze pomyśli, że to ona wywarła na niego takie wrażenie — Ona! — Gdyby tu Jadzia była!

Czuł obok siebie Czesławę i... wydało mu się takiem szczęściem zobaczenie Jadzi, że aż łzy wezbrały mu pod powiekami. Doprawdy — dawno już tak za Jadzią nie zatęsknił! Przypomniał sobie wszystko — i list swój do niej, i to, że mu nie odpisała i narzeczonego — i swój obraz z jej trupem wśród kwiatów.

Chmura piękności otoczyła mu głowę, oddzieliła go od świata. Czuł odurzający, rozkosznie bolesny zachwyt. Zalśniły w nim barwy gorejące, tragiczne postacie, mdlejące w uścisku złych mocy, szamoczące się w strasznych wysiłkach, jakieś oczy, co na wierzch wychodzą — krwią nabiegłe, ramiona wyciągnięte w niebo w okrzyku dzikiej rozpaczy i słońce ogniste lodowato zapatrzone w męki ludzkie, w męki przez siebie stworzone — słońce obojętne, które zasnuwają mętne, żółtawe mgły... na piasczystej pustyni... gdzie wichry gnają tumany piasku palącego...

I nagle, nie wiedzieć skąd ujrzał namiętnie błyszczące oczy muzyka — tam — u Wacka — usłyszał jego głos. —

— Posiadanie kobiety bez miłości jest rozpustą!

I teraz dopiero zrozumiał, co czuł w owej chwili. Widział, jak gimnazista i ten drugi, co z nim prowadził dysputę — pobledli ze wzruszenia i entuzyazmu dla słów muzyka. Teraz dopiero przypomniał sobie, że w tym rozgardyaszu, jaki wywołały słowa muzyka, obydwaj zawołali prawie razem:

— On ma racyę!!

A drżały im ręce i wargi. A potem wyszli niepostrzeżenie.

A on, Julek, czuł, że blednie, oddech mu w piersiach zamiera, że jednocześnie przenika mu z głębiny duszy olbrzymie, przeczyste wzruszenie, takie, jak to, które porywało go w niebo przy pierwszej komunii, kiedy koniecznie chciał umrzeć, bo był bez grzechu... Łzy mu ciekły po twarzy — chciałby uścisnąć ręce tym młodzieńcom — ucałować może te ręce — ale już ich nie było... Potem te bezładne wykrzykniki...

— Trzeci już raz pana pytam, czy pan na długo przyjechał — obudził wreszcie Julka nizki głos Czesławy i jej swobodny śmiech.

Julek spojrzał na nią, jakby pierwszy raz widząc.

I znów to pragnienie — ale już tylko na mgnienie oka — objąć silny, pełny stan Czesławy mocno, mocno. — —

Przeraził się, oblał go war strachu.

— Zupełnie zwaryowałem — szepnął prawie głośno i spostrzegłszy się, że to może być słyszane, huknął na cały głos: —

— Hej, Teciu! Zaśpiewaj jeszcze!

Obydwie spojrzały na niego zdziwione.

— Zaśpiewaj, moja złota — rzekł miękko Julek — i dodał:

— Kiedy śpiewasz, przypomina mi się, że byłem kiedyś u pierwszej komunii... i —

— Wie pani co — zwrócił się do Czesławy — jakby to było przyjemnie umieć mówić zawsze to tylko, co może obchodzić towarzystwo.

— To się podobno nazywa kulturą.

— E, jaka tam kultura. — Szczerość — to jedyna kultura.

— Bardzo wątpię. Może by się ludzie wtedy pozarzynali...

— Tak, tak, ma pani racyę — Aż obrzydliwość bierze, co by to było słuchać wypowiadania się niektórych dusz. Wogóle trzeba umieć ukrywać co się czuje — powiedział z rozmyślną tajemniczością.

— O, pan ma aż tyle do ukrywania...

Julek roześmiał się prawie tryumfalnie.

— Każdy ma, proszę pani.

—Może być. Czy to, co pan teraz myślał, było także do ukrywania?

Oczy zaiskrzyły mu się.

— O tak! — Zresztą, to zależy od poglądu. Przy kulturze szczerości to by może nie raziło.

— Ale pan znowu zmienił zdanie. Raz szczerość, to znowu nie. Niech się pan zdecyduje.

— Panią to dziwi. Ale niech pani pomyśli, że doprawdy ja — naprzód faktycznie byłem zamyślony i nie zastanawiałem się nad tem, co mówię, a po drugie ja naprawdę jestem za szczerością — ale pomiędzy wybranymi — bo hołota — niech lepiej milczy — no nie?

Śmieli się oboje.

— Trudno określić, co hołota, co nie.

— Trudno? My tutaj — to nie hołota, a reszta — hołota.

— Co za zaufanie — już za nas nawet nie

dziękuję — ale za siebie. Czy pan jest pewny, że to, co pan ukrywa jest takie ciekawe?

— Nie — odparł cicho Julek.

Czesława śmiała się coraz bardziej. Julek też, ale cień mu przeleciał przez duszę.

— Ale swoje walki wewnętrzne ukrywać trzeba — rzekł powoli.

— Przed przyjacielem — nie.

— Pani ma taką przyjaciółkę?

Czesława zastanowiła się.

— Niezupełnie. A pan?

— Nie.

Umilkli.

— Nie wiem, czy taka przyjaźń jest wogóle możliwa — rzekł Julek.

— Owszem... ale między ludźmi bardzo wysokiego lotu.

— Może być. Inni nie są godni takiego szczęścia — bo cóż kōmu po troskach marnych, słabych dusz?

— Nie to — ale tylko ludzie wyżsi nie mają brudnych rzeczy do ukrywania.

— Niema takich.

— Co za rosyjski pesymizm. Musiał pan za dużo czytać Dostojewskiego.

— O, czyż tam niema typów zupełnie anielskich. A choćby Alosza z Braci Karmazowych.

— Zapewne. Ale tam nieraz wyanielane są sprawy, nad któremi już dawno na Zachodzie przeszło się do porządku dziennego. Nasza poezya zna czystość uczuć.

— Tak, ale nasza poezya jest nadludzką, rzadko zajmuje się człowiekiem z krwi i kości.

— Co, czy Mickiewicz nie jest dla pana człowiekiem żywym?

— Mickiewicz... O nim nie mogę spokojnie mówić. Czuję, że jestem za młody, aby go ogarnąć. Ale Słowacki. Ja kocham go, uwielbiam, beczę nad nim, jak dzieciak, ale czy pani się czasem nie zdawało, że krew bohaterów, którzy giną w jego tragedyach jest koralowa, bajkowa, nie ma tego ostrego ciężkiego zapachu krwi żywego człowieka. — Nie zawsze, to prawda, ale jakże często!

— A może to właśnie jest piękne?

— Ach i jakie jeszcze piękne! Ja wiem, że on jest prosty w swojej fantastyczności, że to cud, jakiego niema żadna literatura, wiem, że wszędzie w nim, a najwięcej w Królu Duchu, są przepaści prawd duszy — ale — nie wiem — może i do Słowackiego nie dorosłem. Et, chwilami zdaje mi się, że nic nie rozumiem, ani świata, ani ludzi, ani sztuki — nic — ani siebie także. — Chciałbym to wtedy porządnie przemyśleć — ale zdaje mi się, że to się nie da przemyśleć, trzeba przeżywać — a wtedy, przyznam się pani, że mnie strach ogarnia.

— Nie trzeba się nigdy bać niczego.

— O, to pani wspaniale powiedziała. Ale strach — to piękna rzecz. (C. d. n.)

FELIKS GWIŻDŻ.

POEZYE.

NIEPOBOŻNA TO MIŁOŚĆ...

Niepobożna to miłość i gorzkie kochanie,
Po którem jeno smętek w sercu ci zostanie,
A na drogę dalszego, pośród burz żywota,
Jedna jedyna troska: obmierzła zgryzota.

Niepobożne i gorzkie było ócz spojrzenie,
Które ci spokój wzięło i zatruło serce —
W pustkę bowiem, w samotność cię jeno pożenie
I sam będziesz u siebie w nędznej poniewierce.

Czemże są rąk uściski, czemże pocałunki,
Spijane w noce letnie pod drzew koronami,
Gdy wspomnienia ich nie są, jako słodkie trunki,
Ale jak krużе czarne, napełnione łzami?

Czemże są ciche słowa, szeptane obłędnie
W głuszy rozkosznej nocy — gdy radość ich więdnie
Z świtem, ze wschodem słońca, co prawdę odsłania
I duszom wieść przynosi wiecznego rozstania?

JÓZEF JEDLICZ.

HEJ, TYLE DĘBÓW...

Hej, tyle dębów w naszych borach,
Tyle dębowych liści!
Słońcu się nie odwdzięczyć...
Hej, tyle dębów w naszych borach,
Co ronią liście po ugorach
I więdną bez korzyści...
Bowiem zabrakło bohaterów,
Których by mogły wieńczyć.

Hej, tyle mirtów po ogrodach,
Które wysoko rosną!
Ziemi się nie odwdzięczyć...
Hej, tyle mirtów po ogrodach,
Co próżno śnią o wielkich godach,
Gotując dań miłosną...
Bowiem zabrakło dziew-królewien,
Któreby można wieńczyć.

Lwów.

BOLESŁAW LUBICZ.

LISTY Z ZESŁANIA.

(Zamiast wstępu. — Rzut oka wstecz. — Kategorye zesłańców. — „Etap.“ — Nieco o stosunkach prawnych i ekonomicznych zesłania. — „Kolonie“ zesłańców. — Stosunek ludności miejscowej. — Warunki kulturalne, współżycie i samopomoc wygnańców. — Samobójstwa. — Ucieczki i kary. — Parę słów zakończenia.)

Oto leżą przed nami listy z zesłania — garść wiadomości o losie naszych braci, rzuconych ręką carskiej przemocy do różnych zapadłych kątów rosyjskiego imperyum. Worobiowo, Turuchansk, Jenotajewsk, Znamienka, Kuryłowskoje, Tworagowo, Barguzin — jakież to wszystko niezmiernie dalekie, jak dziwnie egzotycznie brzmią te nazwy, gdy się je czyta w Galicyi, pod opieką praw, bądź co bądź, konstytucyjnych, w kraju, bądź co bądź, autonomicznym, — zdala od zmory rosyjskiego „samodzierżawia“.

Jenotajewsk leży w Astrachańskiej gub. na południowym wschodzie Europejskiej Rosyi, „sioło“ Kuryłowskoje — w gub. Tobolskiej w zachodniej Syberyi, Znamienka (jak to znajdujemy w liście) — w Tutorskiej gminie, gub. Irkuckiej, Tworogowo i Barguzin — (miasteczko sławne tradycyą wielu pokoleń zesłańców) — w okręgu Zabajkalskim, czyli tej połaci wschodniej Syberyi, która zmierza wprost do granic Mongolii.

Brak tu Wołogdy, Wiatki, Archangielska, — brak Narymu i Jakutki — brak tylu, tylu innych, — mniej lub więcej znanych, mniej lub więcej od Polski odległych, mniej lub więcej wreszcie zapadłych miejscowości rosyjskich, w których wegetują, skazani na przymusowy w nich pobyt, osiedleńcy — Polacy.

Te pół tuzina listów, o których wspomnieliśmy na początku i za pozwolenie skorzystania z których i podania do publicznej wiadomości składamy dzięki „Polsk. Tow. dla niesienia pomocy więźniom i zesłańcom politycznym“, — jest to niewielka garść faktów z życia wygnańców, tem jednak dla nas cenniejsza, że najzupełniej autentyczna, najzupełniej wiarogodna i rzucająca snop światła nietylko na warunki w jakich żyją zesłańcy, lecz i na samopoczucie, psychologię i wartość moralną ich autorów. — Zbyt nikły jest zawarty w nich materyał faktyctny, by módz na zasadzie jego dać wyczerpujący obraz wygnania. Nie sądzimy nawet, żeby to było — już teraz — wobec braku prób zbierania materyałów, dotyczących tej kwestyi — możliwym. I te jednak trochę faktów, jakie mamy przed sobą, pozwolą nam — mamy nadzieję — zobrazować choć małą cząstkę tych cierpień, które w sumie tworzą Golgotę tak popularnej w zaborze rosyjskim „wysyłki“.

Jeżeli na szczupłą garść tych wiadomości, zebranych z najrozmaitszych miejsc wygnania, spojrzeć przez przyzmat wspomnień i przeżyć osobistych, jakie niejeden z nas ma na emigracyi, — jeżeli zawarty w nich materyał połączyć ze skarbnicą podawanych z ust do ust, niemniej sprawdzonych faktów, — jeżeli dodamy do tego wszystko to co—pomimo niezmiernego oddalenia i bezmiernej apatyi i indeferentyzmu społeczeństwa — potrafiło przedostać się do świadomości szerokich kół jego, — to, być może, zdołamy naszkicować choć najgłówniejsze momenty życia zesłańców w Rosyi. Jeżeli artykuł niniejszy obudzić potrafi choć trochę zainteresowania się losem zesłańców, lub pobudzi kogo do gromadzenia, lub ogłaszania materyałów, dotyczących życia tych ostatnich, — będziemy uważać, że cel nasz został najzupełniej osiągnięty.

*

Kto zna Warszawę, to przykryte płachtą niewoli, a jednak bijące wciąż serce Polski, ten co najmniej od zewnątrz, od ul. Daniłowiczowskiej widzieć musiał t. zw. „Rataj“, czyli ratuszowe więzienie, zawsze ohydnie brudne, zawsze przepełnione, od lat wielu spełniające funkcye pierwszego, najbliższego rezerwuaru, do którego ochrana, policya i żandarmerya stale skierowują nadmiar „niebezpiecznych“ dla „kresowej“ polityki rządu — żywiołów.

Więzienie to jest jakby pierwszym ogniskiem, gdzie się schodzą drogi, wiodące z cyrkułów, prowincyonalnych więzień, lub wprost z „wolności“: — z ulicy, lub mieszkań. Jest ono dla wielu początkiem martyrologii, pierwszym ogniwem w długim łańcuchu cierpień, na jakie rok rocznie całe tysiące spokojnych obywateli skazuje eksterminacyjna polityka rządu. Jest ono jakby punktem wyjścia dla długiej pielgrzymki w głąb Rosyi, którą już przedsięwzięło tak wielu, i z której nie wszystkim powrócić było dano do ojczystego kraju. Z „Rataja“ rozchodzą się drogi do „frontów“ cytadeli, do fortu „Aleksieja“, do więzień śledczych („Pawiak“, „Spokojna“), — przechodzą przez niego późniejsi osiedleńcy i katorżanie, — niejednokrotnie zahaczą o niego późniejsi „szubienicznicy“ — najczęściej jednak i najgęściej uczęszczanym jest szeroki gościniec, wiodący na wygnanie w głąb Rosyi.

Stary to już i ubity gościniec. Wędrują nim Bieniowski (w r. 1769) i Oskierko (1788), wzięty do niewoli — napoleoński żołnierz Karpowicz (1812) i Ordyński (1825), — Krzyżanowski (1831) i ks. Ściegienny (1844) — wędrują do i po upadku Rzeczypospolitej, za sprzeciwianie się zakusom Rosyi i za powstania, za niepodpisanie akcesu do konfederacyi Targowickiej i za podpisanie akcesu do kofederacyi Barskiej.

Wędrują jeszcze z Niepoległej Polski, nieraz wprost z trybuny wolnego sejmu, ze słowami „Liberum Veto“ na ustach. Drapieżna ręka sąsiada wyrywa niejednokrotnie z zachowującego jeszcze niepodległy byt państwowy kraju niebezpieczne dla swych celów jednostki, by przenieść je w głąb swego przepastnego państwa.

Liberum Veto — wolnych obywateli Polski i... zawieszony nad Polską knut rosyjskiej przemocy!... Czyż to nie jest ironia losu?!...

A potym idą Proletaryatczycy, Pepeesowcy, Esdecy...

*

Długim, zwartym szeregiem idą na wygnanie skazańcy. Otacza ich las zjeżonych bagnetów, połyskują kolby karabinów. Brutalnie dźwięczą — w sercu Polski, wydawane w obcym, „panującym“

języku rozkazy, „Szagom marsz“! „Wpierjod!“ „P'szoł!“...

Setki, lub nawet, (jak to było w 1905—7. r.), tysiące przeważnie młodych, zdolnych do pożytecznej pracy obywateli Królestwa idą rok rocznie zaludniać północne tundry, odwieczną tajgę Sybiru, lub południowe stepy rosyjskiego państwa. I to wszystko na wydawaną gdzieś na ulicach Warszawy bezmyślnie automatycznym głosem komendę rosyjkiego żołdaka: „P'szoł“.

Jest to danina, którą rok rocznie Polska składa Rosyi:

„Jeśliby ktoś kiedyś na Sybirskim stepie
„Wynalazł moje bielejące kości, —
„Proszę, niechaj nie szuka w pustym mym czerepie
„Ani żądzy, sławy, ani też wielkości —
„Ale niech się dopatrzy tej duszy prostaczej,
„Która świat ukochała wedle Bożej woli,
„A nie umiała, nie mogła inaczej,
„Gdyż ją bolało to, co ludzkość boli“...

pisał wygnaniec z 1846 roku, Szymon Tokarzewski.

Tokarzewski nie tylko duszy swej, lecz i ciała nie oddał sybirskiemu stepowi. Wyrwał je potęgą swojej woli, bezmierną mocą ukochania wolności i ojczyzny. Ileż jednak innych polskich czerepów pozostało w Sybirze. Któż może policzyć ile duchów polskich łamało się pod ciężarem dławiącym wygnania?... Ileż to kości polskich zostało w Syberyi od czasów hrabiego Beniowskiego aż do dzisiejszego zrewolucyonizowanego chłopa, lub robotnika, w imię socyalizmu idącego walczyć z rządem rosyjskiem. 1769 — 1911. Przeszło 140 lat trwa polskie wygnanie.

Lecz wróćmy do przedmiotu. Zesłańców podzielić można na dwie główne kategorye: na skazanych sądownie, przeważnie za „należenie do partyi“ i na tych, przeciwko którym zabrakło dowodów winy, lecz których rząd słusznie, czy niesłusznie uważa za niebezpiecznych — t. zw. „administracyjnych“. W języku urzędowym kategorye te noszą nazwy „posieleńców“ (osiedleńców) i „administracyjno-ssylnych“ (adm. zesłańców.) Pierwsi, jako pozbawieni wszystkich praw obywatelskich i skazani na t. zw. „wieczne“ zamieszkiwanie Syberyi — otrzymują szare „aresztanckie“ ubrania, które wolno im zrzucić dopiero na miejscu odbywania kary. Bardzo często szary więzienny kubrak ma wszyte jeden lub dwa czarne bądź ceglastoczerwone kwadraty*) — pozostałość z dawnych czasów, gdy w ten sposób znaczono skazańców, by — w razie ich ucieczki — ułatwić ludności ich rozpoznanie i wydanie w ręce władz policyjnych i więziennych. Drudzy — „administracyjni“ — odbywają podróż we własnych zniszczonych najczęściej wielomiesięcznym siedzeniem w „ciupie“**), lecz bądź co bądź, w swoim własnym, nie „kazionnym“***), nie szarym, lecz — przeważnie, jak go noszą w miastach — czarnym, lub ciemnym ubraniu. Ucieczki ich mniej się obawia rząd, uważając za mniej „niebezpiecznych“. Skąd nazwy: — „sierych“ (szarych) i „czornych“ (czarnych) w zastosowaniu do jednej i do drugiej grupy, spotykane na rosyjskich etapach. „Czarni“, czyli „administracyjni“ dzielą się na rozmaite podgrupy. Są pomiędzy niemi — „Sybiracy“, skazani na pobyt w Syberyi; — „europejczycy“ — skazani na takąż karę w europejskiej Rosyi; — skazani na określoną ilość lat (3, 5, 7 — rzadko więcej), lub do zniesienia stanu wojennego w gubernii, lub powiecie, z którego zostali wysłani, — lub wreszcie do zniesienia wszystkich stanów wyjątkowych w tej miejscowości, którą zamieszkiwali. Ci ostatni, o ile pochodzą z Królestwa, uważani są niejednokrotnie przez towarzyszy Rosyan za „wiecznych“ czyli bezterminowych, gdyż nikt z najbardziej optymistycznie usposobionych zesłańców nie może przypuścić, aby rządy Rosyi w Polsce mogły się obyć, jeśli już i bez „stanu wojennego“, to przynajmniej jakiej „ochrony“ „wzmocnionej“, lub „zwykłej“. Sami jednak skazańcy — Polacy zazwyczaj nie chcą się uważać za takowych, uważając, że rządy te wogóle powinny się skończyć!

Jak osiedleńcy, tak i zesłańcy administracyjni muszą odbywać drogę „etapem“, pod opieką specyalnie wyćwiczonych do pilnowania aresztantów żołnierzy konwoju. We wszystkich swych listach zesłańcy skarżą się na szykany i brutalne zachowanie się eskorty. Osiedleńcy otoczeni są nieco baczniejszą opieką niż administracyjni, — pozatem jednak innej różnicy pomiędzy „szaremi“ i „czarnemi“ żołnierze nie robią. Dla wszystkich są jedne i te same „etapowe“ prawidła, dające żołnierzom nieograniczoną wolność postępowania, a nawet wprost n a k a z u j ą c e im użycie broni, lub uciekanie się do innych surowych środków (zakuwanie w ręczne kajdany i t. d.) w razie samej li tylko możliwości buntu, lub ujawnionej chęci ucieczki. Dla wszyskich są jednakowe kajdany, gdzieniegdzie używane archaiczne żelazne pręty, do których przykuwają ręce zesłańców, dla wszystkich jeden i ten sam rozgłośny „uśmierzaniem“ „wewnętrznego wroga“ rosyjski bagnet i ta sama znana na wszystkich etapach kolba, dla wszystkich wreszcie ten sam stereotypowy brutalny okrzyk, za którym tak często następuje uderzenie pięścią, lub kolbą: „P'szoł... Nu!“ — ryk wilka, wlokącego do swej zbójeczniej nory upolowaną zdobycz.

Dzień po dniu, po nieźmierzonym obszarze Rosyi stukają karabiny żołnierzy. Nieraz uderzy w twarz przechodnia głuche nieustanne dzwonienie kajdan, lub gwarnym jasnym echem rozdźwięczy się niestłumiona pieśń żelaza: — znaczy to, że większość „partyi“ — to katorżanie. Czasami zebrane na stacyach tłumy dojrzą szereg o okratowanych oknach wagonów, pilnie strzeżonych przez żołnierzy, gdzieś w pustym stepie chłop rosyjski spotka pędzoną na piechotę „partyę“, lub w ludnym mieście gruby, opasły kupiec rosyjski rzuci garść drobnych monet w zbity tłum dziwnych postaci, pędzonych gdzieś na kraniec świata nakazem „samodzierżawnej“ woli. (C. d. n.)

*) oznaki te są zw. po ros. „bubnowemi tuzami“ co w dosłownym tłumaczeniu znaczy — as karo; nazwa ta pochodzi od koloru i formy wszyć, przypominających oczko w kartach tej maści. „Bubnowyj tuz“ oznacza zazwyczaj w potocznej rosyjskiej mowie — katorżnika (przyp. autora)

**) ciupa—więzienie.

***) skarbowy, należący do skarbu państwa.

EDWARD i JAN STĘK.

NA MARGINESIE SPRAWY SZKOLNEJ W KROL. POLSKIEM.

WARSZAWA—BRUKSELA W LIPCU.

(Dokończenie).

III.

> A wszystkie godziny nasze „oświecone są światłem nieśmiertelnej, nieodgadnionej gwiazdy losów naszych. Kto za tą gwiazdą w przyszłości podąża, pozna godziny szaleństwa, uroki — i pójdzie dalej bogatszy na duszy.
>
> *„Monsalvat“ A. Górski.*

Zaledwie setki młodzieży polskiej „wyemigrowały“ na zagraniczne uniwersytety; zaledwie ta nowa emigracya nasza rozpoczęła Polskę w życie Europy zachodniej wprowadzać i kulturę krajów wolnych do kraju niewolnego przyszczepiać; zaledwie zaczęto pojmować Mickiewicza, Słowackiego, Lelewela, co rzeczywistością władnąć chcieli, gdy oto „przedstawiciele społeczeństwa polskiego“ odciągają młodzież od „oceanów duszy do swoich młyńskich“, nakazują młodzieży całować „bat rzeczywistości“.

Troska o młodzież polską, miłość dla tej młodzieży, troska o jej przyszłą wartość podyktowała ostatnie uchwały stronnictwa N. D.

Frazesem „o miłości i trosce“ nie zastąpi się czynu, miłość tę i troskę stwierdzającego.

„W słowach można się wydawać samemu sobie, — w czynie się jest“.

I oto senat uniwersytetu krakowskiego sekuje młodzież polską najpotworniejszą karą: cofnięciem ulg pieniężnych przy opłacie nauki. I oto na palcach policzyć możemy stypendystów polskich na uniwersytetach zagranicznych. I oto przez 6 lat bojkotu uniwersytetu warszawskiego ani jeden grosz nie wpłynął oficyalnie ze strony społeczeństwa w Królestwie do studenckich kas Bratniej Pomocy zagranicą.

I gdy Chińczycy, Bułgarzy, Turcy, Serbowie, Egipcyanie, Finlandczycy, Japończycy, a nawet murzyni — miliony wydają na stypendya dla swych studentów na wszechnicach francuskich i niemieckich, my troskę swoją o byt uczącej się młodzieży zbyć chcemy „możnością zarobkowania w kraju“.

Nie do uwierzenia na polskie stosunki nietylko Warszawy, lecz nawet Lwowa i Krakowa, jest fakt, że przez 3 lata bytności swojej na uniwersytecie brukselskim spotkałem jednego, jedynego studenta — Belga, który poza pracą w uczelni, zarabiał jeszcze na utrzymanie swoje.

Natomiast w liczbie moich przyjaciół Polaków nie znam żadnego studenta, któryby nie pracował poza uniwersytetem na utrzymanie swoje.

„Śmieszna nędza polska“ najdobitniej zionęła z wydarzenia, którego mimowolnym świadkiem byłem. Do sekretarza Międzynarodowego Biura Socyalistycznego zgłosił się razu pewnego młody „słowianin“ z referencyami na jakąkolwiek posadę „społeczną“. „Cóż wy robić potraficie, towarzyszu?“, zapytał go sekretarz. „Buchalteryę prowadzić umiecie? towaroznawstwo znacie? Moglibyśmy wam dać posadę w kooperatywie...“

— Ja jestem „idealistą“, „działalność praktyczną zostawiam burżujom“, odrzecze młodzian z Polski przybyły. —

— Co to jest idealista? Czy może być idealistą człowiek, który na kawałek chleba zapracować nie potrafi? U nas tacy idealiści próżniakami się zowią. Macie tu 5 franków i zostawcie nas w spokoju.

Iluż bo podobnych młodzieńców wypuściły w świat klasyczne gimnazya carskie! W twardej służbie czynu, gdy ujrzy młodzian, wypróżniaczony ideałami, iż nie dość jest posiadać „referencye“ a dyplomy, a „bumagi“, znajdzie inne wyjście za granicą.

Ujmie się pracy byle jakiej i tylko taka praca go uszlachetni.

Toż wielki Adam dopiero zagranicą napisał te święte słowa:

„Można chodzić we fraku i należeć do ludu, można chodzić w bluzie robotnika francuskiego, lub sukmanie chłopa polskiego i nie należeć do ludu“.

Mówmy otwarcie i szczerze. Lwia część zarobków studenteryi warszawskiej polegała na rublach, za ogłupianie malców ze szkół carskich pobieranych. „Korki“ studenckie niedarmo korkami się zowią. Zajęć odpowiedzialnych, samoistnych i twórczych student warszawski imać się nie lubił i nie chciał. Zresztą nie śpieszono się zbytnio z „ofiarowywaniem“.

Biedny akademik warszawski, bodajby miał zdolnośei handlowe czy techniczne, musiał mieć zdolności pedagogiczne. Inaczej zdychał z głodu.

Pamiętam z jaką zgrozą przyjęto wiadomość w gronie „socyalistycznej“ młodzieży warszawskiej o tem, że pewien „towarzysz“ — student został inkasentem handlowym,

Cóż mówić o środowisku narodowej i chrześcijańskiej młodzieży!

Zaś na to uwagę zwrócić chcę, iż jeno w uczelniach rosyjskich można poza nauką zarabiać na życie.

Dr. MICHAŁ JANIK.

NOWE FALE ANTYSEMITYZMU.

Kwestya żydowska, jedno z najciekawszych zagadnień kulturalnych, szczególne posiadła znaczenie na ziemiach Polski. Tutaj bowiem zamieszkuje niemal 50% ogółu żyjącej na ziemi ludności żydowskiej; tutaj, mimo poważnej liczby, zasymilowanej kulturalnie przez społeczeństwo miejscowe, odrębność plemienna i społeczna żydów przechowała się w stopniu najwyższym, czego najbardziej uderzającym objawem posługiwanie się przez pospólstwo żydowskie żargonem niemieckim, któremu niezdrowa agitacya usiłuje nadać w ostatnich latach charakter języka narodowego. Tutaj nareszcie ludność żydowska skupiła się po miastach i stanowi bardzo wysoki procent ogółu ludności miejskiej. Ponieważ zaś miasta stały się w dobie nowoczesnej ogniskiem najistotniejszem życia zbiororowego, sprawa żydowska stała się w szczególności dla Polski rzeczą najdonioślejszego znaczenia.

Dla illustracyi uprzytomnijmy sobie niektóre cyfry, nieoparte wprawdzie o ścisłe dane statystyczne, wskutek niemożności prawie zebrania odpowiedniego materyału, niemniej bardzo zbliżone do rzeczywistości. Na obszarze dawnej Rzeczypospolitej żyje obecnie około 45 milionów ludzi, w czem około 18 milionów ludności polsko-chrześcijańskiej czyli 40%, zaś niemal 5 milionów ludności żydowskiej, czyli 11%, z czego około 2 miliony, czyli 4½% zalicza się do narodowości polskiej. Razem tedy Polacy i żydzi stanowią 51%, Polacy-chrześcijanie i Polacy-żydzi 44½% ogółu mieszkańców Polski historycznej. Jeżeli dalej uwzględnimy stosunek ludności wiejskiej do miejskiej, który przedstawia się w Polsce mniej więcej jak 8:1, okaże się, że miasta dawnej Polski posiadają około 5,850,000 mieszkańców, z czego Polaków-chrześcijan 30% (z żydami Polakami 40%), żydów 35%, innych 35%. Tak więc zarówno ze względu na ogół ludności, jak w szczególności po miastach, żydzi stanowią poważny języczek u wagi, który decyduje o większości dla celów polskiej myśli państwowej i narodowej. Ważność tych cyfr mówi sama za siebie.

Powiedział raz ktoś paradoksalne zdanie, że poglądy na sprawę żydowską są barometrem, który pozwala określić, czy w danym czasie panuje zastój i reakcya, czy też odbywa się praca twórcza i rozwój. Jeżeli zatrzymamy oko na Polsce, znajdujemy zdania tego niejakie potwierdzenie. Antysemityzm w Polsce widocznym jest dopiero za czasów saskich. W literaturze politycznej wieku XVI. i XVII. nie brak wzmianek o żydach, lecz trzymane są przeważnie w tonie ogólnikowym, lub powtarzają niedorzeczne bajki w rodzaju owych, jakie Tacyt pisał o pierwszych chrześcijanach, najczęściej zaś związane są z zajęciem kupieckiem żydów, co w czasach dawniejszych dawało wszędzie powód do złośliwych przymówek. Poczciwy Klonowicz, który w Worku Judaszowym podał najdotkliwszą swoich czasów satyrę, miał o żydach niewiele do napisania, a jakiej jest wartości to, co napisał, niech poświadczą cytaty:

„Nie po siercić my znamy te Iskarysty,
Poznać po towarzystwie, kto jest z tamtej roty.
Najdziesz go, a on z Mośkiem i z Lewkiem przestawa,
A Chrystusa za srebro Annaszom przedawa...
Podczas weźmie ampułki i z turybularzem,
Nie pamięta na Boga, niesie to do żyda,
Do Slamy, do Szmula, albo do Dawida...
Najdziesz takie złe ludzie, co sakrament święty,
Żydom i czarownikom, w uściech swych przejęty,
Przedają bezbożnicy ciało i krew Pańską...“

Niewiele więcej miał żydom do zarzucenia Szymon Starowolski w Reformacyi obyczajów polskich. Oto owe ustępy: „Ale puściwszy cudzoziemskie przykłady na stronę, w państwie polskiem kto teraz największą przyczyną tej drogości nigdy niesłychanej przez lat kilkanaście? Łakomi. Ci bowiem niebacznym i nierozmyślnym umysłem, chcąc bardziej i prędzej miechy i skrzynie swoje nabić, za powodem żydów żydowski łakomy żywot sobie upodobali, każdą rzecz, co się im z ziemi rodzi, we czwórnasób drożej ludziom i potrzebnym przedając. W Rusi zasię, wszystkie arendy żydom w ręce podawszy, uprzywilejowane wolności niektórym złamano, powołowszczyznę corocznią ustanowiono, na swoją potrzebę nikomu piwa, gorzałki i miodu robić nie dozwolono... i dobrze już ze skóry ubogich ludzi nie złupiono... żaden z takich nie będzie mężny, uczony, pobożny, ludzki i cnotliwy, ale żyd omierzły, kupiec bezbożny, prokurator niewstydliwy, sędzia przewrotny, baba smrodliwa... Porzuć przeto smrodliwe to rzemiosło (kupiectwo) żydom smrodliwym, a tego, coś zgromadził, hojnie udzielaj na chwałę bożą, na potrzebę rzeczypospolitej, na powinne niedostateczne, na ludzie głodne, na ubogie i sieroty“.

Przyczynę tedy złego wymienieni pisarze i inni przypisywali społeczeństwu własnemu, oskarżając żydów tylko o rolę pośrednictwa. Stwierdza to bardzo wyraźnie Wacław Potocki, który, żaląc się wymownie na nietolerancyę religijną w Polsce, objawioną przez wypędzenie zapobiegliwych Aryan, pisze w sposób następujący:

„Temu nieborakowi wsi wzięły kaduki“. —
„Czemuż to?“ — „Bo źle wierzył“. — Takowej nauki
W żadnem piśmiem nie czytał; onby sam dla siebie
Co najlepiej chciał wierzyć, żeby mógł być w niebie...
— „Każdy wierzy, w co Kościół, chyba, że nie czyni“. —
— „To taki gorzej, niżeli aryjan, przewini!“ —
„Przecz że ten nabożeństwa dla wsi nie odmienił?
Bo drożej, niżeli wieś, swoją wiarę cenił!
Na cóż mu ją wydzierać gwałtem chcą ci sędzie,
Kiedy on mocno ufa, że w niej zbawion będzie...
Jeśli jako o rozbój, albo insze brzydy
O wiarę karzą, czemuż opuścili żydy?“ —
„Bo się nam okupują!“ — „Pewnie tymi, co są
W Polszcze pieniądzmi, — inszych do Polskiej nie niosą
A kędyż sprawiedliwość za pieniądzmi chodzi?
Godne prawo nagany, ani się to godzi...“

Dla objaśnienia wypada dodać, że Aryanie oszczędni pożyczali innej szlachcie pieniędzy. Wypędzeni tracili majątki na rzecz oskarżycieli i prawo do zwrotu wierzytelności. Stąd pochopność do pod-

pisania dekretu banicyi. Inaczej było z żydami. Ci brali od szlachty pieniądze na procent. Gdyby ich wypędzono, byłyby przepadły wierzytelności szlacheckie. W podkreśleniu tego samolubnego charakteru dekretu banicyjnego tkwi całe ostrze satyryka.

Zupełnie inny obraz widzimy za czasów saskich, w okresie zdziczenia, nietolerancyi najzupełniejszej i zaniku ducha obywatelskiego. Dawniej społeczeństwo szukało winy w samem sobie, obmyślało, niestety bezskutecznie, środki ochronne, posiadało zatem zdolność do życia. Teraz całą winę zwala się na żydów, którzy nie mieli przecież w ręku ani władzy ustawodawczej, ani wykonawczej, a lubo korzystali ze znacznych przywilejów, byli wszakże na równi z mieszczaninem i chłopem wyeliminowani ze wszystkiego, co władzę stanowi. Ale cała opinia szła wówczas na opak. Aby nie obwinić siebie, szukano winy na zewnątrz. Smutne czasy. Wtedy też po raz pierwszy w Polsce szukano pociechy w antysemickich wynurzeniach i skargach. Miarą ówczesnych sądów może być zdanie Benedykta Chmielowskiego, proboszcza rohatyńskiego: „Dwie rzeczy Polakom i Litwie pożądane: żydów i heretyków vulgo dyssydentów oddalenie, albo pod rygorem praw tolerowanie, bo te są dwie mocne miny polskiej ruiny". Floryan Jaroszewicz, autor Matki świętych Polski, wylicza szeregi dziatek, zamordowanych dla krwi przez żydów; oczywiście zatem, zgodnie z takiem stanowiskiem, nie ma dla żydów dość słów potępienia: „O narodzie polski! O chrześcijański i katolicki narodzie! co za zasłonę, co za ćmę rzucił na wszystkie stany nasze duch ciemności?, że oczy mamy, a nie widzimy, jak się przeklęty od Boga, zatwardziały na sercach naród żydowski mnoży!.. jako w swoich bożnicach i indziej łży imię Chrystusowe, jako każdego roku, w każdem województwie, powiecie, ziemi, rozlewa krew niewinnych dziatek, a gdy tych nie może, to i dorosłych chrześcijan, czego im jaśnie na dyspucie we Lwowie, mianej w r. 1766, dowiedli nawróceni z nich Contra-Talmudistae... Bójcie się zatem, bracia moi Polacy, żeby wkrótce ten bezecny naród, już tak rozmnożony, tak w bogactwa, a z was samych zamożony, co teraz rogi podnosi, nie podniósł kiedy i mieczów na karki wasze, zwłaszcza przez pobratymstwo z łotrami, z Turkami, z Tatarami, a uchowaj Boże, aby ci hołdownicy nasi nie byli nam panami, a jak teraz z Brodów uczynili sobie Jerozolimę, z całej Polski nie uczynili sobie Palestyny."

Nic dziwnego, że także za Sasów znalazł się człowiek, który chciał nawrócić żydów na chrześcijanizm. Był to biskup łucki, Franciszek Kobielski. Objaw ten jest o tyle znamienny, że widocznie nieszczęścia, za których sprawców uważano żydów, przypisywano nie rodzajowi żydowskiemu, ale tylko ich wyznaniu. Kąt widzenia, zgodny z fanatyzmem epoki i wychowaniem jezuickiem. Kobielski przeprowadził w tej sprawie korespondencyę z jenerałem Dominikanów w Rzymie. W myśl otrzymanych odpowiedzi ogłosił listy pasterskie, w których między innemi nakazał wykłady katolickie po synagogach, mogące się odbywać po hebrajsku. Kazania takie, płacone przez synagogi, miały być urządzane przynajmniej raz na kwartał, a obejmować także Karaimów, schizmatyków, Filipowców, Mahometan i innych. Sam Kobielski głosił takie kazania, bo jak pisał do żydów: „Ubolewać trzeba nad waszą ślepotą i zatwardziałem sercem... zaczem z pasterskiej naszej obligacyi i zwierzchności nam od Boga danej nad wszystkimi bliźnimi, znając i was za bliźnich naszych i pragnąc nawrócenia waszego, pzzykazaliśmy i t. d."

Wszyscy statyści czasów saskich odnoszą się do żydów z największą niechęcią. Kobielski nie odmawiał im przynajmniej prawa do nazwy bliźnich. Inaczej zdaje się sądzić Stanisław Szczuka w swojej Eclipsis Poloniae, gdy w dwunastym punkcie projektów poprawy Polski napisał: „Judaismi infamis a regno propellatur turba. Ea videlicat turba, cui fraudes pro honestate, lucra vetita pro fida, sceleara pro gloria, odium in nos pro vocatione recipi. Dozwolić im przewłoki trzech lat, aby interesy załatwili, a potem nie cierpieć z pogróżką nawet cielesną. Lichwą duszą szlachtę i lud, tajemnice państwowe wydają, miasteczka niesłychaną niechlujnością zanieczyszczają".

Nawet bardzo rozsądny Stefan Garczyński w swojej Anatomii Rzeczypospolitej jest do żydów niezmiernie uprzedzony. „Z miast i miasteczek — pisze na jednem miejscu — same tylko zostały ruiny. A co większa, po tych miastach i miasteczkach kogo najwięcej znajdziemy, jeżeli nie samych żydów, którzy jako do każdej rewolucyi ojczyzny przywiązują się i nieprzyjaciołom faktorstwem dopomagają i nie rodzą się ani chowają na obronę, ale na zgubę naszą, tak też w tej ojczyźnie pro nihilo censeri powinni... którzy już in potiori parte w Polszcze nie tylko miasteczka poopanowali, ale i we wsiach to po gościnach, to po najlepszych miejscach poosadzali się i jeżeli ta licencya dłużej potrwa, to ta nasza ojczyzna bardziej do Jerozolimy, niż do Polski podobna w krótkim czasie będzie... Ale jakże modlitwę Pan Bóg przyjmuje od tych, którzy, mając w swojej posesyi dobra, poddanych katolików, krwią Chrystusową odkupionych, do chwalenia Najśw. Sakramentu stworzonych, nikczemnie po wsiach traktują, gnębią, krzywdzą i prześladują. Po miasteczkach zaś, zamiast sposobu obmyślenia do życia mieszczanom, to na to miejsce żydów osadzają i konserwują".

Nie uniknął taniego antysemityzmu tyle zasłużony w tępieniu ciemnoty i zabobonów Monitor Bohomolca, który w r. 1766 podaje radę następującą: „Obrócić żydów w poddaństwo, niech roli pilnują. Chlebem się naszym pasą, niech na ten chleb zarabiają, wierutni szalbierze. Żydzi, zaniechawszy handlów, otworzą nowe naszym mieszczanom pole." Jednak już w r. 1781 pod wpływem wieku oświeconego zaczyna pisać oględniej, choć bardzo jeszcze ostrożnie: „O przedawaniu Najśw. Ciała Chrystusowego są prawdziwe historye i cudami potwierdzone, toż rozumieć o dziatkach małych, przez żydów kupionych i pokłutych, że się działo i dziać może, ale rzadko, bo błąd jest rozumieć, że się żydzi ślepo rodzą i potrzebują do tego Najśw. Hostyi, albo krwi małych dziatek. Odkryli ten fałsz ojciec św. i cesarz obwołaniami swemi". Dla filologów warto przypomnieć, że tenże Monitor człowieka „chciwego na accipe" nazywa Rebochowski, gdy znowu pamiętnikarz owych czasów Matuszewic zapisuje, że zamiast „przekupywać" mówiono: „udać się do żydowskiej szabli".

Pierwszy dopiero Stanisław Konarski przestaje na żydów narzekać, w dziele swojem O skutecznym rad sposobie, na wzór pi-

sarzy czasów lepszych, szukając złego, nawet ze strony żydów pochodzącego, w ogólnej anarchii i rozprzężeniu, nie mieszając skutków z przyczynami, nie szukając w żydach kozła ofiarnego za grzechy własne, jak to czynili antysemici czasów saskich. I tak pisze na jednem miejscu: „Bojaźń jakaś, lichość umysłów i podłość generalna opanowała wszystko... Interesów prywatnych, ambicyi, emulacyi, łakomstwa taka moc jest, iż zda się, że w nas pamięć o rzeczypospolitej i ojczyźnie wygasła, jakby każdy obywatel kraju o niczem więcej myśleć nie powinien, tylko żeby jemu dobrze było, choćby wszyscy zginęli. Oszukania i fałszów w publicznych tranzakcyach ustawicznych tak gęsto, że prawie fidem publicam ledwie znajdziesz. Skarb koronny od wielu miastek cudzoziemskich publicznej kasy uboższy i gorzej rządzony. Handle w kraju całe upadłe, od żydów zabrane, zdzierstwami partykularnych kupcom obrzydzone. Żydowstwa fatalne królestwu rozplenienie. Poddaństwa niezmierne ubóstwo. Miast i miasteczek ruina. Śmiecią monety kraj zarzucony... W domach własnych bezpieczeństwo fortun, żon i życie od domowych i od obcych najazdów i kup samowolnych stracone. Niegaszone między panami niesnaski.. Niesława, hańba, słabość, sromota, upadek na wszystkiem całego narodu".

Konarski zaczyna okres odrodzenia. Ustają też po nim skargi na żydów. Ciemnota i obłuda powtarza wprawdzie swoje, ale obywatele prawi szukają rady należytej i, zamiast na żydów wyrzekać, pragną zreformować cały ustrój społeczny, a przy tej sposobności załatwić poważnie kwestyę żydowską, nadając prawa, żądając obowiązków. Wiadomo powszechnie, jak gorąco Tadeusz Czacki bronił sprawy żydowskiej na sejmie czteroletnim. Sprawa została niezałatwiona, niemniej zaszczyt przynosi odrodzonej części społeczeństwa i sejmu, który — słowa Kołłątaja — polepszając i zapewniając los wszelkiego wyznania mieszkańców, chciał dla wszystkich Polskę miłą zrobić ojczyzną. „O reformie politycznej żydów — pisze Kołłątaj w dziele: O ustanowieniu i upadku konstytucyi polskiej 3-go maja 1791 — żaden naród jeszcze gruntownie nie pomyślał. Sejm konstytucyjny chciał to dopełnić. Uważając on, że ludność narodu żydowskiego blizko miliona (na 12 milionów ogółu) wynosi w Polszcze, wziął się do tego dzieła. Wyznaczył osobną w tym celu deputacyę, która po długich pracach, mając do walczenia z tylu w tej mierze przesądami i z prywatnym interesem właścicielów, podała projekt tak dobrze ułożony, iżby był w kilkunastu leciech żydów, próżniactwem i oszukaństwem po większej części bawiących się w Polszcze, na pożytecznych przetworzył obywatelów. Okoliczności wojny, a niemi rozproszenie sejmu konstytucyjnego, zniszczyły dokonanie tak ważnego w prawodawstwie dzieła, które długo za niepodobne u obcych uchodziło".

W jakim kierunku szły usiłowania sejmu czteroletniego względem żydów, świadczy o tem bodaj pierwszy raz użyte w literaturze polskiej wyrażenie Niemcewicza „Polak wyznania mojżeszowego". Niemcewicz użył tego wzrotu w powieści Lejbe i Siora, a był on — jak wiadomo — jako członek sejmu zwolennikiem stronnictwa reformy, które przygotowało Konstytucyę 3-go maja. Wyrażenie Niemcewicza odwraca dotychczasowe pojęcia. W opinii dobrych obywateli żyd przestaje być natrętem, intruzem, niedowiarkiem, a staje się na równi z ogółem ludności materyałem na wyrobienie zeń pożytecznego dla kraju obywatela. Reforma w tym kierunku ma pójść z góry, od rządu, który, nadając prawa, może określać obowiązki. Na jak wdzięczny grunt trafiły usiłowania reformatorów z epoki wieku oświeconego, dość powiedzieć, że uważany do tej pory za szkodnika i tchórza, żyd, staje w szeregach Kościuszkowskich, walczy potem w legionach i wszystkich walkach następnych, jakie toczone były o niepodległość Polski, bierze nadto udział we wszystkich pracach kulturalnych narodu w okresie porozbiorowym. Jak zaś głęboko zakorzeniły się nowe wyobrażenia w umysłowości oświeconej części narodu, dowodem tego stałe podtrzymywanie nowej opinii przez wszystkich prawych patryotów. Powstania listopadowe i styczniowe otworzyły dla żydów miejsce w szeregach walczących. Mickiewicz zwracał się do żydów z najwyższą sympatyą i zachował ją przez całe życie. Na tem samem stanowisku stał Słowacki. Margrabia Wielopolski w okresie swoich usiłowań pragnął rozwiązać kwestyę żydowską bez żadnych uprzedzeń. Manifest Rządu narodowego z ostatniego powstania traktował żydów na równi z innymi obywatelami kraju. Powieści Kraszewskiego, Orzeszkowej, Szymańskiego i innych są wyrazem najszlachetniejszych i jedynie godnych narodu oświeconego w tej sprawie tendencyi. Od czasu sejmu czteroletniego widzimy też żydów nie tylko wspólnie walczących i usiłujących w kraju, widzimy ich zarówno w cierpieniu, na emigracyi, na Sybirze, w kazamatach i na szubienicach ofiary.

(Dokończenie nastąpi),

SILVA RERUM.

TEGO JESZCZE NIE BYŁO. Eksc. Biliński, prezes obecny Koła polskiego, czuje się ciągle ministrem czynnym, a marzy o premierostwie, które miałoby uwieńczyć jego profesorsko-urzędniczą karyerę. W samych marzeniach nie byłoby nic złego, premierostwa nikt mu także nie zazdrości, ale są sytuacye, które obowiązują. Taką sytuacyą jest prezesura Koła polskiego, która nie jest urzędem cesarskim, ale pochodzi z wolnego wyboru delegatów narodu polskiego do wiedeńskiej Izby posłów. O tej sytuacyi Eksc. Biliński zupełnie zapomniał, chociaż takie zapomnienie u starego parlamentarzysty jest mocno niewłaściwem. Nie chcemy użyć silniejszego wyrazu. Uwagę tę nasuwa ostatnie przemówienie p. prezesa w pełnej Izbie posłów. Bije z niego niepohamowany, młodzieńczy prawdziwie zapęd do zdobycia pełni władzy, ale właśnie owa młodzieńczość jest zarazem zapędu potępieniem. Zrozumieć można arcylojalną lojalność, zrozumieć można wdzięczność dla sędziwego monarchy, który w dobrze pojmowanym interesie dynastycznym skorzystał z pomocy Polaków dla utwierdzenia mocarstwowego stanowiska państwa, ale w ustach prezesa Koła polskiego nie można zrozumieć tego wszystkiego, co przekracza tę możliwą do wyrozumienia miarę. Panegiryk czołobitności dla hegemonii niemieckiej, złożenie rządowi w bezwzględnym hołdzie wszystkich uczuć i aspiracyi narodu polskiego, oddanie się z gestem rozmiłowanej na śmierć oblu-

bienicy, — są to objawy, jakich jeszcze historya polska w tym stopniu nie widziała. Nawet wielbiciele Katarzyny II. próbowali robić zastrzeżenia wobec „wszechwładnej opiekunki i dobrodziejki“. Polska polityka państwowa w przemówieniu Eksc. rozpłynęła się w najkompletniejszej nicości. Pan Biliński mógł tak przemawiać, gdy był ministrem cesarskim, nie powinien był tak mówić, jako prezes Koła polskiego. Toteż opinia polska powinna dać odczuć panu prezesowi, że przemawiał wyłącznie w swojem własnem imieniu, a afekt, jakiego jeszcze nie było, jest jego wyłączną własnością.

W SPRAWIE REFORMY WYBORCZEJ sejmowej odbyła się pod przewodnictwem Jego Ekscelencyi, p. Głąbińskiego, otoczona najprzenikliwszą tajemniczością, narada prezydyum Koła polskiego i przewodniczących klubów sejmowych. Tajemniczy wynik obrad powędrował napowrót do polskich klubów sejmowych.

PO POGRZEBIE. *(r-s).* Ks. Stojałowski zostawił dziedzica — p. Jana Zamorskiego. Dziedzic krząta się gorliwie, aby rozproszone stado stojałowczyków do obory n.-deckiej zapędzić. *Wieniec* włożył na niego stygnącą dłonią ks. Stojałowski — *pszczółką* jest, która zbożnie stojałowszczyznę na n.-deckie przerabia miody. Z pomocą mu spieszy prof. Grabski i rzecze ważkie *polskie słowo:* sieroty jesteście, o bracia stojałowczycy, ale nie płaczcie — my wam matkować będziemy. *My, Intelligencya Wszechpolska...* Dajcie nam się w ręce!.. Zubożył nas Bobrzyński — Herostrat; — spadek nam potrzebny, a was na śmiertelnym łożu nieboszczyk nam zapisał, więc wolę jego uszanujcie. Nie bójcie się, że was zjemy — jeżeli zjemy, to nie inaczej jak w sosie chrześcijańsko-społecznym. Bo intelligencya wszechpolska żadną przyprawą ani sosem nie pogardzi, żołądek ma strusi — dobrze wam będzie u nas w żołądku...

I obwieścił Jan Zamorski: pójdę między lud, jako prorok narodowo-ludowy, chrześcijańsko-społeczny, jak zresztą chcecie. I zbiorę was do kupy, jako dziedzic wasz i pasterz. I płakać będziecie ks. Stojałowskiego, a czcić żyjącego ojca ludu, miłościwie was zjadającego — Wszechpolaka.

NOWI RAJCE LWOWSCY powykrywali okropne rzeczy. Najpierw przekonali się, że miasto Lwów stoi w przededniu bankructwa. Następnie dowiedzieli się ze zgrozą, że fundusze, gromadzone z podatku wodociągowego, a — w myśl ustawy — przeznaczone na rozszerzenie wodociągów, zostały zużyte na wydatki bieżące. Wreszcie stwierdzili, że milionowe dochody kolei elektrycznej obracano samowolnie na dalsze inwestycye zakładów elektrycznych, jedynie z upoważnienia komisyi. Wszystko prawda, szkoda tylko, że ci panowie nie wiedzą, że o tych odkryciach dawno już świegotały wróble na dziurawych brukach Lwowa. Wszak nadużycia te wytykali od wielu lat radni opozycyjni, domagając się naprawy — nadaremnie. A popierali je głośno i pocichu ci, którzy dziś wraz z wszechpolakami dzierżą rządy miasta i dzierżyli je dawniej, za prezydentury ś. p. Michalskiego i p. Ciuchcińskiego. Więc prezyd. Neuman nie potrzebował aż wstawać z krzesła — jak opowiada reporter wszechpolskiego brukowca — gdy usłyszał na Radzie o tych „skandalach“, bo on je wraz ze swoją kliką znał doskonale od pierwszej chwili, jako jeden ze współtwórców tych skandalów.

Nie zajmowalibyśmy się wcale tą tragifarsą, gdyby nie rada, jaką ci panowie dają dziś na wybrnięcie z kłopotów. Oto chcą poprostu zwalić wszystko na barki obywateli przez podwyższenie podatków gminnych. Sprawdza się przysłowie: „Kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera“. Bo zaiste szaleńców potrzeba, ażeby w czasach, dla obywateli najcięższych, wśród orgii drożyzny występować z pomysłami nowych ciężarów gminnych. Szaleńców — albo zbrodniarzy.

STAJNIE AUGIASZĄ. *(r-s).* „Ochrany“ rosyjskie — instytucya niemniej święta od Św. Synodu, bo powołana do ochrony świętych podwalin caratu — są obecnie w opałach. Jest to istotnie przykrość nielada, gdy rewidujący są rewidowani, gdy najtchórzliwszy filister rosyjski zuchwale miota się na groźnych „ochranników“, gdy wszyscy, z prawa i lewa i ze środka wołają: hajże na Soplicę! Teraz „Duma“, parlamentarna, że tak powiem, „Ochrana“ Rosyi — ciska zatrute strzały w policyjną „Ochranę“, w tę drugą, groźną, tajemniczą stronę tego samego carosławnego medalu. I ludzie naiwni gotowi przypuszczać, że coś z tego wyjdzie, że wszechwładza policyi szpiegowsko-prowokatorskiej dozna uszczerbku.

Nadzieja złudna i bezpodstawna. Zapewne, „Ochrana“ skompromitowała się, a że zdawna ma licznych wrogów, że przytem z „ochranami“ rywalizuje żandarmerya, zwykła policya i sądownictwo, więc formalnie to i owo się zmieni, pozornie, zewnętrznie to i owo zreformuje.

Ale duch „Ochrany“ jest mocny i żywotny, siłę swoją czerpie z całokształtu stosunków politycznych caratu — więc nie zginie. I w jakiekolwiek ciało policyjne wejdzie, jakąkolwiek nazwę przybierze, — swoje „ochranne“ dzieło zawsze spełniać będzie.

Był niegdyś w Rosyi „III-ci oddział Kancelaryi Jego Cesarskiej Wysokości“, który opiekował się sprawami politycznemi. W r. 1871 ustąpił miejsca „Departamentowi policyi“, ale cóż się zmieniło — prócz nazwy?

Specyalnie wytresowana i wyspecyalizowana „Ochrana“, a raczej — jak pięknie brzmi nazwa: „Oddziały ochronne dla pilnowania porządku i bezpieczeństwa publicznego“ — powstały niedawno. Ale czyż „Ochrana“ wymyśliła prowokacyę? Czyż zarządy żandarmskie nie praktykowały jej i nie praktykują z równem powodzeniem?

Łapówka i prowokacya — mimo rewizye senatorskie i krzyki dumskie — pozostaną. Ta strona medalu, którą wyobraża „Duma“, jest, ot sobie, świecidełkiem, przynętą dla głupich, kinematograficznym obrazkiem, na którym liberali płaczą i łamią ręce, a czarnosecińcy śmieją się i tańczą „kamarinskuju“. Nie jest więc konieczna. Ale ta druga stroną — z „Ochraną“ i podobnemi instytucyami — jest konieczna dla caratu, jak powietrze.

Te stajnie Augiusza oczyścić może jedynie — Herkules — Rewolucya.

Z RAPTULARZA.

UPADEK GAUTSCHA. Zupełnie niespodzianie kryzys ministeryalna austryacka, która zdawała się tyczyć kilku foteli, w związku z dopuszczeniem Czechów do większości rządowej, zamieniła się w dymisyę całego gabinetu. Utrzymali się tylko trzej ministrowie Zaleski, Georgi i, sławny dziś dzięki wyrokom wiedeńskim i zamachowi daleko poza granicami monarchii, Hochenburger. Następcą premiera, twórcy powszechnego prawa wyborczego, został hr. Sturgkh skrajny konserwatysta, który najzacięciej zwalczał reformę wyborczą, zarazem zdecydowany klerykał, mąż zaufania pobitej partyi chrześcijańsko-społecznej.

Kryzys ministeryalna i wpływ jej na politykę wewnętrzną zostaną oczywiście szeroko omówione w osobnym artykule.

WOJNA WŁOSKO-TURECKA przybrała bardzo przykry dla najeźdców obrót. Około 20,000 wojsk turecko-arabskich, mimo, że olbrzymią ich większość stanowiło pospolite ruszenie i mimo słabości swojej artyleryi, zaatakowało 23. z. m. 25,000 załogę Trypolisu. Bezustannie ponawiane, bez chwili wypoczynku, ataki przeszły 26-go w walną bitwę. Dzięki bohaterstwu, niewidzianemu w żadnej z ostatnich wojen od czasu Plewny i niespodziewanemu powstaniu ludności miasta na tyłach armii włoskiej, udało się Turkom wyprzeć Włochów z ich pozycyi w oazie Trypolitańskiej, odrzucić w nieładzie na miasto i zdobyć dwa forty u jego bram. Wedle niestwierdzonych wiadomości w ręku Turków jest główna studnia Trypolisu, Bumeliano; pewnem jest, że w ręce ich dostała się stacya kablu 2 km. od miasta. Włosi, łącząc niebywałe niedołęstwo i tchórzostwo z okrucieństwem, dopuszczają się w mieście okropności niewidzianych od czasu wojen XVII. wieku. Straty ich są olbrzymie i przeszły już w tej bitwie wedle pewnych wiadomości do 28-go 3000 ludzi. Pięć rot piechoty wycięto prawie w pień. Prywatne wiadomości włoskie donoszą o stracie 100, oficyalne tureckie o 1000 jeńcach włoskich. Turcy wzięli 8 dział, 4 kartaczownice i wiele materyału wojennego. Wobec tego, że Włochom dzień w dzień przybywają posiłki, utrzymanie się ich przy Trypolisie jest prawie pewne. Klęska wpłynie jednak silnie zarówno na opinię wewnątrz Włoch, jak i na odnoszenie się mocarstw do stron wojujących. Turcya dała dowód niezwykłej żywotności; nimb armii włoskiej spadnie obecnie do zera.

W REWOLUCYI CHIŃSKIEJ zaszedł częściowy zwrot na gorsze. Maszerująca na Pekin armia Linanhenga została w trzydniowej bitwie przez ministra wojny Juczanga pobitą i odpartą od Hankou. Po dwudniowej morderczej walce ulicznej opanowały wojska tegoż północną dzielnicę miasta (właściwe Hankou) i spaliły ją w większej części. Armia rewolucyjna cofnęła się do Wuczangu i Aujangu i stąd próbuje atakować wojska rządowe.

„ŻYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polsklego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawcy: Dr. **Aleksander Lisiewicz** i inż. **Hipolit Śliwiński.**

Redaktor odpowiedzialny: Aleksander Nawrocki.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“. LWÓW, KRZYWA 8. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.